№ 6. Warszawa, dnia 8 Lutego (27 Stycznia) 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.



5 Lutego 1896 roku.

Tegoroczny karnawał, jakkolwiek nie zaprowadził w modach żadnej stanowczej zmiany, pokazał jednak wyraźny zwrot do epoki Ludwika XV. Spostrzegamy to w przyjęciu westek i żakietek z materyi broszowanej *Pompadour*, otwartych z przodu na długiej kamizeli atłasowej. Noszą je do gładkiej spódniczki czarnej lub w ciemnym kolorze. Zdobi tę westkę wielka kokarda koronkowa u szyi. Do tejże epoki należy układ włosów utrefionych dokoła głowy w formie melona, z upiętą w środku egretką marabutową, tak zupełnie jak na portretach Maryi Leszczyńskiej, z tą jedynie różnicą, że fryzurka nie upudrowana.

Zapowiadają nam zwężenie spódnic i zmniejszenie rękawów, lecz to się jeszcze nie daje widzieć. Co do spódnic nie bardzo temu dowierzamy. Zwrot do czasów Ludwika XV prędzej może przyniesie modę rozniesistych rogówek, lecz co będzie trudno przesądzać — pokaże to dopiero, drugi wiosenny karnawał po Wielkiej Nocy. Nim to nastąpi, zapiszmy tu kilka sukien z wielkich magazynów tutejszych.

Najstrojniejsza z nich, jedwabna mieniona w dwóch kolorach: popielatym i różowawym (*vieux rose*). Przód szeroki na łokieć z ciemno-zielonego aksamitu. Stanik marszczony pod szyję, na nim drugi, bardzo wykrojony, zielony aksamitny, z wyłożonemi na rękaw epoletami w ostre zęby. Rękawy bufiaste, z materyi takiej jak spódnica.

Druga suknia czarna aksamitna (*velours du nord*). Spódnica gładka, powłóczysta na kilka cali. Stanik otwarty z przodu, pod wykrojem plastron z pekinu w czarne i białe paski. Rękawy ogromne pekinowe. Takaż szarfa otacza stanik, od niej spadają w tyle dwa końce bardzo szerokie w paski, długie do ziemi, pokrywające tył spódnicy i tren, poniżej pleców przytwierdzone rozetą.

Trzecia suknia z materyi blado-zielonej. Spódnica bardzo rzęsista od boków; u dołu dwie plisy z aksamitu ciemno-zielonego. Stanik aksamitny otwarty z baskiną, w tyle i po bokach; od stanika spadają epolety w formie trzech wielkich liści, na rękawy z jasnej materyi. Z pod otworu wybiega plastron, nagarnirowany koronką. W pasie boki stanika łączą się pasmanteryą z zielonych paciorków, tworzącą bawet. Na szyi takaż obróżka, w ząb na dół spuszczona, odpowiednia do bawetu.

Czwarta suknia strojna dla młodej panienki, z białego muszlinu jedwabnego, cała układana w zamocowane pliski. Takiż stanik z okrągłym niezbyt nizkim wykrojem. Poniżej piersi obciśnięty gorsecik z białej materyi zachodzi nieco na spódniczkę, ogarnirowany wkoło ruszą illuzyową. Rękawy jedwabne do łokcia, plisowane w zakładki, pokryte wielkim epoletem z illuzyi. Od pleców dwie szerokie szarfy z materyi plisowanej, spadają do dołu spódnicy. Przytwierdzone w górze rozetą.

Piąta suknia dla panienki, na mniejszy wieczór, biała muszlinowa w drobny rzucik. U dołu spódniczki, dwa razy dana wstawka koronkowa. Bluzka marszczona pod szyję, ujęta w gorsecik biały jedwabny, zapięty z boku na niewidzialne haftki. U szyi kołnierzyk stojący ze wstawki koronkowej, przewleczony dwa razy wązką czarną aksamitką, związaną na małe kokardki.

Szósta suknia także wieczorowa. Spódniczka jedwabna błękitna w drobne prążki. Stanik okrągło wycięty, biały koronkowy, na błękitnym atłasie, namarszczony wokoło. Rękawy złożone z dwóch wolantów koronkowych, podtrzymanych niewidzialną buffą, na ramionach ku przodowi wielkie kokardy błękitne i takiż pasek plisowany zapięty w tyle na rozetę.

Siódma suknia wizytowa, z czarnego sukienka. U dołu spódnicy wązki szlak wyszywany jedwabnym sutaszem. Westka do tego z baskiną, po bokach płaska, w tyle mocno nafałdowana, z przodu szeroko otwarta. W górze wyłożone klapki z białego sukienka, po dwie z każdej strony, z czarnym hafcikiem u brzegu. Pod spód dana kamizela, dłuższa od baskiny, ścięta u dołu czworograniasto z materyi na tle białem, w lekki deseń *Pompadour* w różnych kolorach. U szyi nagarnirowana biała i czarna koronka. Rękawy balonowe, odcięte u łokcia, dalej wązkie, zakończone mankietem z białej i czarnej koronki.

Jak wspomnieliśmy powyżej, westki i żakietki z czasów Ludwika XV stanowią dzisiaj pierwszą modę.

Dajemy tu dwa bardzo ładne modele:

Westka z materyi broszowanej, na tle jasno popielatem, w deseń z różnokolorowych kwiatów i liści, plecy gładkie z rzęsistą lecz krótką baskiną, przody szeroko otwarte, objęte z każdej strony pasmanteryą przerabianą blaszkami stalowemi. Pod to idzie długa kamizelka aksamitna zielona (*vert lumière*), spięta na stalowe ładnie wyrobione guziki. Kołnierz zielony odwinięty *medicis*, podpięty u szyi wielką kokardą koronkową. Rękawy ogromne z materyi w deseń, od łokcia zwężone. U ręki mankiet zielony aksamitny *Mousquetaire*, rozety z boku, na rozcięciu spada namarszczona koronka.

Druga westka nieco dłuższa, z materyi *Pompadour*, na tle piaskowem w bławatki i inne polne kwiatki. Plecy gładkie z baskiną, przytwierdzoną dwoma złotemi guzikami z szafirową emalią. Przody szeroko otwarte, wyłogi u nich ścię-

te w ząb z szafirowego aksamitu. Pod spód idzie długa kamizela z białej gładkiej materyi, spięta na podwójny rząd emaljowanych guzików, większe od tych guziki dane z boków, po trzy z każdej strony, przytwierdzają westkę do kamizelki. Rękawy balonowe, ścięte u ręki z mankietem szafirowym aksamitnym, przybrane guzikami i koronką. U szyi ogromna kokarda koronkowa.

Z okrywek przytaczamy jednę wizytową lub do teatru. Jest to mała rotundka czarna aksamitna, objęta szeroko białym aksamitem w śmietankowym odcieniu. Na tem deseń wyszyty w arabeski czarną, grubą sznelą i dżetowemi perłami. Kołnierz do tego czarny Medicis ubrany po bokach puklami z białej atłasowej wstążki.

Wielkie kołnierze koronkowe bardzo modne w tym roku, pokrywają niekiedy cały przód stanika. Zdobią je wielkiemi kokardami ze wstążki atłasowej, upiętemi fantastycznie to w podłuż, to na ramionach, to po bokach szyi, otoczonej zwykle wązką aksamitną opaską.

O kapeluszach nie ma co teraz mówić, najwięcej widać toczków z aksamitu pomięszanego z materyą Pompadour i białą koronką. Główną ich ozdobę stanowi wysoka egretka z marabutów lub piórek rozmaitego rodzaju.

Rękawiczki białe nie wychodzą jeszcze z mody; noszą je nawet do częstego ubrania.

Seweryna Duchińska

St. Aziel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy.)

Panna Smieńska posłyszawszy, iż nie jest pierwszej młodości człowiekiem, pomyślała odrazu: „jeśli będzie nad miarę mantyczył, rzucę go, a choćby z pod ziemi wynajdę innego...” Ale tymczasem chciała spróbować, i oto szła już pewnego popołudnia razem z Helą.

Jako trzecia dreptała obok nich Niuta Kermieńska, którą matka, osoba troskliwie domem i rodziną zajęta, wolała czasem powierzać znajomym, niż puszczać samą na miasto, nawet w dzień, nie tylko wieczorem.

Był to koniec Marca, a dzień niepogodny, więc z gęstym mrokiem o wczesnym zachodzie. Nim się dobiły do ulicy Długiej, wstępując po drodze za jakiemiś sprawunkami, już prawie się zciemniło.

Niuta zatem czuła się trochę unieszczęśliwioną, z powodu awanturniczego charakteru, jaki w oczach jej przybierała wyprawa. Należało bowiem szukać pracowni gdzieś w ogrodzie, jak mówiono „dawniej Deckerta” — i przedostawać się tam przez sienie i korytarze, w których mimo zmierzchu widniały napisy: „Café-Restaurant.”

— A jeśli wyjdą na nas jacy mężczyzni. Jeśli nie trafimy a noc zapadnie — szeptała.

Ada wszakże obawy jej pozbywała żartem, równie jak uwagi Heli, i szła śmiało, powtarzając: „znasz li ten gmach, gdzie rząd posągów stoi?...” Nie zważała na błoto pod nogami, ani na gałązki czepiające się kapelusza.

Dopiero gdy znalazły się przed wielką, prostą szopą, stojącą w głębi ogrodu, a wcale do pałacu niepodobną, gdy nawet przez szczeliny w okienicy dopatrzyły światło i część marmurowego torsu, nie miały już żadnej wątpliwości, że są u celu. Ada się obróciła.

— Stukać, czy nie stukać? — pytała. — Bo istotnie trochę późno...

Tu wszakże oburzyła się panna Bończuk.

— Jakto? Cofnęłabyś się, gdy przywiodłaś nas tak na przebój i na przekór? Wstydź się! Należało wcześniej uznać, że pora niezbyt właściwa.

Ada zapukała tedy do drzwi, pozbawionych dzwonka.

Z wewnątrz jednak ani znaku życia.

— A może ten Pietro po polsku nie rozumie? Może on nie ubrany? — znów z trwogą szeptała Niuta.

Ale towarzyszki jej nie odpowiadały, pilnie nasłuchując. Hela wiedziała, że Vico od dawnych lat zamieszkiwał w Warszawie, i językiem miejscowym władał. Ada zaś naprowadzona na przypuszczenia, w miarę przedłużającej się ciszy, poczęła je snuć obficie i stroić w najrozmaitsze obrazy.

Już widziała artystę w chwili podniosłego natchnienia, które go tak dalece pochłaniało, że nie był zdolny do żadnego porozumienia się z ludźmi, i dlatego umyślnie obecność swoją tail; to znów wyobrażała sobie przed nim modelkę, której nie byłby chciał pokazać nikomu, wreszcie przypuszczała, że istotnie pracą znużony, spoczywa na wschodnim dywanie, w malowniczym negliżu...

Wszystko to podnieciło tak jej ciekawość, że mimowoli zastukała raz drugi i niecierpliwie.

Hałas dał się słyszeć w głębi i echo szybkich kroków. Klucz w zamku skrzypnął, drzwi się otwarły — i stanął w nich mężczyzna wzrostu średniego, z twarzą o typie południowym, rysach pięknych i wydatnych, cerze czerstwej, wielce ożywionej brwiami i oczyma, jak węgle czarnemi, lubo włos nad wysokim czołem, bujnie sfalowany świecił całkiem srebrno, wprost przeciwnie, jak wąs nad ustami — niewielki, a ciemny. Człowiek ten miał na sobie bluzę z szarego płótna za kolana sięgającą, a suto w ramionach namarszczoną; w ręku zaś, w bryłkę gliny oprawną trzymał świecę, którą mimowolnym ruchem pod oczy wchodzących podsunął.

Panny się zmieszały, i nawet Ada, której z roli przodowniczki głos zabrać wypadało, milczała, nie wiedząc: pan, czy sługa?

— Pan Pietro Vico, tu? — zaczęła w końcu ostrożnie.

— Tak, ja sam — odpowiedział mężczyzna z ukłonem wcale niegrubiańskim.

— Pan pozwoli, mimo późnej pory?... Pani Zofia Darska poleciła...

— Ależ służę paniom! Za zaszczyt sobie poczytam.

I, z właściwą południowcom żywością ruchów, prowadził je przez ciemną komórkę do głównej pracowni, gdzie nie omieszkał przedewszystkiem skwapliwie zakryć płachtą jakiejś grupy stojącej w pośrodku.

Panny trącały się łokciami, przyczem Ada nie umiała ukryć komicznego rozczarowania, które na usta Heli wywoływało wyraz: „Dobrze ci tak.”

Ale wszystkie patrzyły dokoła ciekawie.

Owa zaś artystyczna pracownia, była to poprostu izba obszerna, z podłogą lecz bez pułapu, aż mroczna od kurzu, pyłu, szara od mnóstwa gliny w bryłach i rozsypce. Na ścianach tylko bielały kartony ze szkicami, lub maski i ręce gipsowe, a na słupach kilka biustów i posągów marmurowych. Głąb' i kąty zawalały jakieś bezkształtne masy, okryte płótnem osnutem pajęczyną. Ledwo parę krzeseł, świeżo obtartych stało obok ceratowej kanapki przy stole; a wnętrze rozwartego piecyka, ziejącego ogniem stanowiło, w posępnej całości obrazu jedyny punkt jaskrawy. Tam, przyrzucaniem węgli zajęty, kręcił się zamaszysty cień prostego chłopa w ciemnym kitlu, sługi, który spełniając zlecenie swego pana, drugą świecę postawił na stole.

Pietro tymczasem bluzę prędko ściągnął, i ukazawszy się w zwykłem, a najkompletniejszem ubraniu, nawet nie bez krawata i kołnierzyka, podsunął paniom krzesła, a potem ku drzwiom zawrócił, i odrazu zamknął je na klucz.

Ada znacząco spojrzała na Helę.

Jej znajomość życia sięgała tak daleko, iż nie brakło jej pewnego pojęcia o niebezpieczeństwie w pozostawaniu sam na sam z mężczyznami, zwłaszcza artystycznego autoramentu, ale ciekawość przeważała w niej obawę, tembardziej tu, gdzie czuła, że jako kobiety są górą nad przeciwnikiem, ponieważ znajdowały się w liczbie trzech wobec jednego. Jasiek bowiem, choć z włoska „Gianem” przezwany, oczywiście za mężczyznę nie mógł być uważany, podobnie jak wygalonowani lokaje u wielkich dam.

Hela, znacznie spokojniejszego temperamentu, a przedewszystkiem logicznego umysłu, „zaciekawione” to spojrzenie zgromiła surowym wzrokiem, zbrojąc się w minę pełną powagi. Pietro Vico zaś, jedynie z przyzwyczajenia zabezpieczywszy wejście przed natrętami, zakończył obawy w sposób nader prosty, uprzejmie zapytując, czem służyć może; chciał albowiem dobyć jakieś słowo z ust pięknych a milczących bogiń, których szczególnego zjawienia się nie rozumiał dotąd.

Naraz otwarły się potoki wymowy Ady. Odzyskawszy swobodę i pewność siebie, poczęła tłómaczyć, że pragnie uczyć się rzeźbiarstwa, i w tym celu za wskazówką pani Darskiej przybywa tutaj, że malarstwo, które studyuje nie wystarcza jej, jako sztuka za mało plastyczna i wstępująca dziś na jakieś nowe i mętne tory, i t. d. A prawiła z takiem ożywieniem, że agatowe jej oczy nabrały pełnego blasku, rysy zwodniczego wyrazu wyższej myśli, o którą nieraz przy podnieceniu zwłaszcza posądzoną być mogła. Dość, że głowa jej niepospolita, w rembrandtowski kapelusz w dniu tym przybrana, razem z kibicią kształtną i wdzięczną, musiała oddziałać na człowieka, o wyrobionym zmyśle artystycznym i wielce czułej wrażliwości.

To też Pietro z zachwytem utkwił w niej swe oczy czarne a płomienne, jak skwary południa. Wyobraźnia jego zdolna do uniesień wnet poczęła bujać a przytem młodość tej dziewczyny, w połączeniu z jej wdziękiem podziałała na niego, na podobieństwo podmuchu wiosny ożywiającego nagle uśpioną przyrodę.

Głos jej dźwięczał mu w uszach jak muzyka, wesołość stawała się eliksirem, wskrzeszającym minioną rzeskość. Poczuł się pełnym ognia, żądzy, ruchu i życia. Wnet otrząsnął się z niemego zachwytu, w jakim stał przez chwilę i z zapałem począł dawać objaśnienia, dotyczące dzieł swego pomysłu i dłuta, które jęły ukazywać się jedne za drugiemi, z pod szarych płócien, kurzem porosłych.

Ada prosiła by odsłaniał jedne za drugiemi, i tem łechtała jego artystyczną miłość własną.

Nie uważał też ile dzieciństwa lub płytkości było w słowach, z któremi się od czasu do czasu wyrywała ale szedł za czarem jej spojrzeń, i ruchów, w które umiała wlewać powab zarówno wrodzony i nabyty, zwłaszcza, że w lot spostrzegła i ona w rysach Pietra wyraz uwielbienia, co dla nerwów jej stanowiło narkotyk najsilniejszy.

I tak we czworo obchodzili dokoła pracownię, przy dokładnym przeglądzie wcale zajmującą.

Gdy Hela, która ciągle stawiała rozumne zapytania i uwagi, zagadnęła wreszcie o proces pracy rzeźbiarskiej, Ada wnet zawołała za nią:

— O, tak! niech nas pan objaśni, bo ja chciałabym jak najprędzej rzucić modelowanie z gliny, a wykuwać w marmurze. Co to za rozkosz módz w martwy kamień wlewać duszę!

— Ale niestety, pani, kobiety nigdy same z marmuru nie wykuwają. To praca za ciężka na ich siły, a tak długa i mozolna, że nawet pani zapał ostygłby niezawodnie, zanim bryła kształty jakoweś przybraćby mogła — tłómaczył Pietro z łagodnym uśmiechem. — We Włoszech, gdzie zdolności artystyczne tak są powszechne, nawet mężczyzni, twórcy, powierzają wykonanie swoich dzieł umiejętnym pomocnikom, i sami częstokroć nie mają pojęcia o wydobyciu z kamienia tego, co ich geniusz z gliny wytworzył—objaśniał dalej.

— Więc ja do końca musiałabym na lepieniu poprzestawać?

— A czyż to artystycznym popędom nie wystarcza? Bronz i marmur, tylko uwiecznienie zapewniają pracom, glina zaś, ten materyał miękki i uległy, ten znikomy proch ziemi jest całym fundamentem rzeźbiarskiej sztuki, jak i podstawą wszechrzeczy i świata. My wszystkie dzieła tworzymy tylko z gliny, budujemy wizerunki ludzi, z martwym odblyskiem naszej duszy, jak Bóg stwarza nam pierwowzór człowieka, z płonącą iskrą życia i nieśmiertelnym duchem w ciele!

Tu Ada spojrzała z zastanowieniem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rzekome choroby wieku.

Jak nas zapewnia pan Varigny, i jak o tem bez p. Varign'ego wie każdy przeglądający dzienniki paryzkie, nie ma tygodnia, w którymby w rubrykach t. zw.: „Faits divers" nie znalazło się paru przynajmniej tej treści ogłoszeń:

„Inspektor jednego z pierwszorzędnych naszych magazynów, znowu pochwycił in flagranti panią X. starającą się ukryć przywłaszczone (tu następuje wymienienie szczegółowe przedmiotów zeskamotowanych). Z wyprowadzonego na miejscu prowizorycznego śledztwa okazuje się, że osoba o której mowa należy do rodziny powszechnie szanowanej, że jest małżonką człowieka zajmującego stanowisko poważne i t. d., i t. d.

„Mocno przeświadczeni jesteśmy, że i tym razem mamy do czynienia z owem nieszczęśliwem zboczeniem psychicznem, bo wreszcie ani przypuszczać można, aby osoba tej pozycyi towarzyskiej i t. p., i t. p."

Mowa tu rozumie się o kleptomanii.

I oto dzięki temu naukowemu terminowi, ta która się dopuszcza czynu karygodnego zamiast pogardy, budzi współczucie ludzkie, a w razie najniepomyślniejszego obrotu jej sprawy, zamiast do więzienia detencyjnego, dostaje się pod obserwacyą lekarską, a z pod tej, w 99-iu wypadkach na sto wychodzi czystą jak kryształ. Jeśli jej nie przybyło wziętości i sympatyi, to nie ubyło z pewnością największą. Bo to ofiara tej newrozy naszego wieku, może ofiara dziedzicznego jakiego zboczenia, Bóg wie zresztą jakie to tam mogły być motywa tego kroku niczem nie dającego się wytłómaczyć, bo i któryż człowiek ze zdrowymi zmysłami i znający życie, zechce uwierzyć, aby kobieta tej sfery, tej wziętości towarzyskiej i tego nazwiska, zechciała przywłaszczyć sobie przedmiot za który mogła zapłacić gotowizną.

Kleptomania! Nie sposób żeby inaczej było! Tak się w kołach, kółkach i kółeczkach intelligencyi współczesnej komentują fakta podobne.

Że wprowadzono do języka wyraz obcy a nowy w miejsce starego, bardzo przykro brzmiącego, a determinującego rzecz zupełnie nie dwuznacznie—przeciwko temu oczewiście nic mieć nie można, ale żeby wraz z wprowadzeniem nowego terminu do słowników i encyklopedyi krzywić się miał jednocześnie zdrowy sens publiczny, i żeby dlatego prawda musiała być koniecznie wynicowaną na wywrót — na to potrzeba już nieszczęścia prawdziwego.

Tak powiadają Francuzi sami, tak powiada przynajmniej to co jest we Francyi zdrowem, myślącem, czego otumanić niemożna pierwszym lepszym frazesem, ani ogłupić lada wybiegiem i ci wszyscy rozumują sobie znowu w ten sposób:

Przywłaszczenie przedmiotu koniecznej potrzeby przez takiego, któremu brak tego przedmiotu dotkliwie uczuwać się daje, który nad tem cierpi, a nawet bardzo boleśnie cierpi, jest w każdym razie przywłaszczeniem, i w języku codziennym odnośnie do takich mianowicie, względem których krępować się nie ma potrzeby, nazywa się czyn taki kradzieżą.

Przywłaszczenie przedmiotu zbytkownego, gdy się na kupno tego artykułu luksusowego nie ma pieniędzy, jest przestępstwem o wiele gorszem i karygodniejszem, bo tu już nie ma na usprawiedliwienie ani choroby, ani głodu najbliższych sercu, a tylko samo niecne pożądanie, chęć dorównania możniejszym — jednem słowem wchodzą tu w grę te wszystkie pokusy, którym mężczyzna czy kobieta charakteru i szlachetnego sposobu myślenia nigdy nie ulega.

Przywłaszczenie nakoniec czegoś w rodzaju koronki kosztownej, świecidełka opatrzonego drogimi kamieniami, i to wtedy mianowicie, kiedy się ma przy sobie w portmonetce wartość tego przedmiotu w gotowiznie, urasta do rozmiarów prawdziwej zbrodni, bo tu już trzeba przyjąć w rachunek pohańbienie nazwiska z rozmysłem, pogrążenie w nieszczęście rodziny, a w większej części wypadków przychodzi tu winowajcy obciążyć sobie sumienie manipulacyą, która dla odwrócenia podejrzeń od siebie, nakazuje zwrócić podejrzenia na osobę drugą. Jeśli tą osobą będzie subiekt czy sklepowa, jest to rozumie się połączone z utratą bytu przez człowieka pracującego i z jego niesławą. O tem wszystkiem wie przestępczyni, a pomimo tego dopuszcza się kradzieży z szaloną odwagą, niezmiernym ryzykiem i z podeptaniem wszystkich możliwych skrupułów, które najniewątpliwiej resztki jakiegoś poczucia moralnego podszeptywać jej muszą w chwilach, kiedy się jej upadek rozstrzygająco decyduje.

Otóż ten właśnie nadmiar podeptanych względów, to niesłychane obciążenie winowajczyni, popycha sąd powierzchowny do wniosków wbrew przeciwnych rozsądkowi i prawdzie. Mówi się w takim wypadku: „Nie mogła się tego dopuścić z samowiedzą i w normalnym stanie ducha. Nie druzgocze się istnienia swego i swoich najbliższych dla niczego. To absurd!

A w takim razie cóż to jest?

Szaleństwo — obłęd — kleptomania wreszcie!

Bardzo to być może, ale wszak każdy wogóle przestępca nie jest przy zupełnie zdrowych zmysłach, bo każdy w rezultacie oblicza źle, jak się pokazuje. I ten, który kradł portmonetki od roku całego a zamiast zniszczyć każdy taki dowód, starannie chował jedną obok drugiej, a potem na zapytanie policyi, która zeszła na grunt dla zrobienia poszukiwań odpowiedział niedołężnem: Ja kolekcyonowałem portmonetki — i taki przecież nie jest mądrym, a mimo to winowajcą w mniemaniu powszechnem jest on niewątpliwym.

Jest w człowieku, który się dopuszcza czynu karygodnego dwoistość niewątpliwa: Winowajca i głupiec. Ostatni oddaje pierwszego w ręce sprawiedliwości. Zresztą to prawda znana wszystkim a stara jak świat.

Tymczasem każda rzekoma kleptomanka taka rozumuje sobie w ten sposób:

„Przedewszystkiem nie pochwycą mnie na uczynku, a gdyby... no to jeszcze pozostaje mi na obronę niejedno. Najpierw będzie to pomyłka, bo przecież kto ma przy sobie pieniądze, ten nie kradnie. Jeśli sprobują nastawać, jest jeszcze w rezerwie przecież oburzenie moje, które także coś znaczy jako broń, boć i oni zawahają się na razie, i oni zrozumieją że tam, gdzie się ma za sobą wpływy i znaczenie, tam nie da się człowiek pobić jak pierwszy lepszy. Przypuśćmy, że i to nie poskutkuje i że mięsza się w to urząd. No to i urzędnika zmiękczyć można. Co nie poskutkowało na tamtych, tu się okazać może skutecznem, z tym właśnie, bo przecież taki człowiek obcy—nie zainteresowany, mniej będzie skłonnym z natury rzeczy dać wiarę pozorom, niż ci kramarze jacyś, tembardziej że i on rachować się musi z wpływami, jakich w obronie mojej przypuszczalnie użyją najbliżsi. W summie biorąc, zbyt wiele jest szans za mną, żebym nie miała spróbować.

Tak rozumuje każda i wadliwym podobnego procesu myśli nazwać nie sposób.

Idzie tedy taka kobieta do Luwru lub do Bon-Marché, czeka na sposobność, upatruje, czycha... no i jednej godziny fatalnej... stało się. Udaje się jej raz, dwa razy, dajmy na to trzy — przy czwartym razie jest pochwyconą.

Jeżeli nie wydobyła się z kłopotu na miejscu przy pomocy jednego ze sposobów, które planowała — jeżeli poszkodowani okazali się nieubłaganymi i sprawiedliwość bierze w swoje ręce rzecz

całą, w takim razie w toku śledztwa zazwyczaj okazuje się najczęściej, że dom, z którego pochodzi podsądna jest istotnie nieposzlakowany, że mąż zaopatruje wszystkie potrzeby zupełnie wystarczająco, ale że pani jest cokolwiek ekspensowna, a przy gustach wybrednych, chęci dorównania możniejszym bardzo daleko posuniętej, i t. d., i t. d.

Te okoliczności towarzyszą zazwyczaj faktowi, ale tu nie ma nic coby nasuwało przypuszczenie zboczenia umysłu.

Że w takim wypadku kobieta o którą chodzi jest głowy słabej a poczucia moralnego żadnego, że nie bierze życia jak należy, że nie ma wstydu ani obrzydzenia dla tego co nizkie i upadlające— wątpliwości nie podlega żadnej, ale że ta cała charakterystyka nie pociąga za sobą wcale niepoczytalności za spełniony czyn haniebny — to także pewnik niewątpliwy. Od takiego stanu do niepoczytalności bardzo... bardzo daleko jeszcze bywa.

Przychodzimy tedy przed sądy.

Tutaj dopiero otwiera się znowu pole dla matactwa adwokackiego. On pierwszy, taki właśnie obrońca, nie ma najmniejszej wiary w słuszność sprawy za którą gardłuje, ale mu to do zuchwałego dopominania się u sądu o uniewinnienie oskarżonej bynajmniej nie przeszkadza. Zapłacono go a im czelniej się zachowuje, im śmielej napada, tem sukces pewniejszy. Wpośród argumentów jakimi się adwokackie szalbierstwo posługiwać zwykło w takich razach, nie trudno się spotkać z takimi, jakich użył na przykład z powodzeniem u opinii dr. Lassegne, który stale utrzymywał z racyi podobnego konfliktu ze sprawiedliwością, iż winowajcą prawdziwym był właściciel magazynu, kuszący wystawą swoją charaktery słabsze i że ukaranym powinien być chyba za fakt występny, on jeden tylko.

Stowarzyszenie przedstawicieli medycyny sądowej dyskutowało niedawno na posiedzeniu publicznem kwestyą owej niepoczytalności postawioną przez p. Legrand de Saulle lekarza-aljenisty w Salpêtriére, a konkluzye wyprowadzone przez tego uczonego, zaalarmowały prawdziwie opinią publiczną, bo są istotnie jak gdyby na to obliczone, aby zachwiać zdrowym sądem i poczuciem słuszności człowieka niewyrobionego.

Pan Legrand de Saule dzieli kleptomanki na 3 klassy:

1) Na złodziejki, dawne profesyonistki, to znaczy chore w połowie.

2) Neuropatki z predyspozycyą do obłędu. Przez kobietę należącą do tej kategoryi należy rozumieć taką naprzykład, która pomimo, że wyszła z rodziny zacnej, a osobiście znajduje się po za granicami braku, a nawet troski o jutro, nie jest jednak w stanie oprzeć się pokusom niezdrowym i dlatego gotowa jest do spełnienia czynu, który wytłómaczyć się nie daje sam przez się w tych warunkach.

3) Rozstrojone doszczętnie a przeto całkowicie niepoczytalne.

Pierwszą i ostatnią kategoryą zrozumie każdy, ale ten, który powiada, że zrozumiał drugą także, nie dziwi się już zwyczaj całemu rusztowaniu fałszu złożonemu z zabiegów rodziny obwinionej, chwiejności organów sprawiedliwości, i z adwokackiej sofistyki posiłkowanej przez przychylność w błąd wprowadzonej opinii publicznej.

Tymczasem ci, którzy sobie występek kobiety takiej, o jakiej mówimy tłómaczą nicością umysłu, pustką serca, życiem nad stan, chęcią podobania się i głodem fatałaszków, ci z największą pewnością prawdy będą najbliżej.

Dlaczego koniecznie mamy rzeczy sądzić per absurdum? Ponieważ to jest niepodobieństwo, a więc jest tak. Ponieważ w rodzinach zacnych kradzieży być nie może, a zatem członek rodziny zacnej który spełnił czyn hańbiący musiał być chyba obłąkanym.

A to zkąd? A to dlaczego?

Należał czy należała do rodziny zacnej ta o której mowa póki się trzymała jej zasad, a przestała do niej należeć nie od tej chwili kiedy ją pochwycono na spełnionem przestępstwie, ale już w owej fazie kiedy sobie zaczęła pozwalać na rozluźnienie kodeksu, który tę rodzinę w poczet zacnych rodzin pomieścić pozwolił.

Trochę więcej obostrzeń w wychowaniu, woła p. Varigny — trochę więcej stanowczości w postępowaniu sądowo-karnem, trochę mniej skłonności ze strony ogółu do przyklaskiwania wszystkim nowatorskim hipotezom naukowym—a z największą pewnością liczba kleptomanek nieszczęśliwych zmniejszy się bardzo szybko!

T. M.

Ś  P.

D-r Franciszek Jawdyński.

W dniu 21 Stycznia r. b. zmarł w mieście naszem po kilkotygodniowych ciężkich cierpieniach ordynator szpitala Dzieciątka Jezus ś. p. D-r Franciszek Jawdyński, w wieku lat 44.

Zmarły cieszył się wielkiem uznaniem w gronie kolegów, a o bezinteresownej pomocy, jaką niósł cierpiącym, wiedzą ubodzy i nieszczęśliwi.

Padł ofiarą swojej gotowości do usług, spełniając z całą świadomością niebezpieczny obowiązek przy łożu kolegi dotkniętego jedną z najzaraźliwszych chorób zakaźnych.

Poległ na wyłomie jak żołnierz wzorowy i niechaj mu lekką będzie ta ziemia, a szanowanem wspomnienie jego żywota u ludzi, dla których poniósł trud całego życia i śmierć męczeńską.

V. C. Topsöe.

WE WRZEŚNIU.

Przekład z oryginału duńskiego.

I.

Châlet przez Vebeck, 1 Września.

Droga moja! Miałaś zamiar przyjechać tej jesieni do Kopenhagi, zrób mi łaskę, i przyjedź trochę wcześniej, niż projektowałaś, o tyle przynajmniej, byś mogła spędzić ze mną 1-szy Października, który jest dniem moich urodzin. Nie chodzi tu właściwie o moje urodziny — to jest, właśnie chodzi tu o nie—lecz zaprosiny moje mają inny cel, niż sobie wyobrażasz.

Mam zamiar spędzić dzień ten jeszcze na wsi, w willi Châlet, którą, jak wiesz, otrzymałam w spadku przed rokiem, i która zawsze była ulubionem mem miejscem pobytu. W tym roku chcę później wracać do miasta, by mi ten dzień zeszedł tutaj, na co ciotka moja, ze zwykłą swą, lecz, trzeba przyznać, wielce nudną uprzejmością odrazu się zgodziła. Zatem będziemy tutaj, a teraz do rzeczy: Jeżeli przyjedziesz, to nie myśl byś znalazła tu zabawę lub liczne i wesołe towarzystwo, nie dla ubawienia cię, bowiem, zapraszam cię na ten dzień, lecz dla poważnych i smętnych rozmyślań. Powodem zaś tej smutnej uroczystości jest to, że w dniu pierwszym Października roku bieżącego, kończę trzydzieści dwa lat! ni mniej, ni więcej, zatem, jak dwa razy szesnaście — ów uroczy okres czasu, w którym się zaczyna być „młodą dziewczyną."

Dwa razy szesnaście!... dwa lata po za decydującą trzydziestką!... O! nie probój tylko, droga moja, pocieszać mię Balzakiem i jego trzydziestoletnią kobietą! Najbardziej zajmującem, co udało się ludziom wynaleźć, odnoszącego się do tego wieku, jest to, że kobieta spotkała się z pokusą porzucenia męża i dzieci, i oprzeć się jej nie mogła... i to wszystko! W gruncie rzeczy może mieć to nawet wiele uroku, lecz nie dla mnie, która nie mam ani męża, ani dzieci. Dla mnie, trzydzieści dwa jest tylko dwa razy wziętem szesnaście i nic innego... chwilą, w której przestawszy być młodą, czeka się tylko na to, by naprawdę zestarzeć.

A to pierwsze stało się ze mną do tego stopnia, że zaczynam nawet dostawać siwych włosów. Tak, tak, droga moja, mam już siwe włosy!... Spostrzegłam je tego lata, susząc włosy moje po kąpieli. Pewnego poranka siedziałam sobie, czesząc się w moim pokoju, gdy nagle błysnęły mi one u skroni. Postawiłam lusterko na oknie, w sypialni, zkąd wiesz, taki cudny roztacza się widok na urwiska, pokryte zielenią drzew i czarujący, przezroczy Sund... wszystko uśmiechało się do mnie w blasku pogodnego, letniego dnia, ozłocone jasnymi promieniami słońca, i w tem to świetle, blasku, przepychu natury, dojrzałam pierwsze moje siwe włosy. Było ich nie wiele: pięć, sześć srebrzystych nitek, może... tak przynajmniej zdało mi się z początku, lecz przypatrzywszy się bliżej, przekonałam się o znacznie większej ich liczbie — gęsto usiane nimi było pasmo, co snuło mi się nad uchem. I wyrywanie na nicby się już nie przydało!

Zamknęłam szybko drzwi na klucz, by ciotka nie weszła do mnie przypadkiem, bo muszę ci się przyznać, że płakałam... Śmiać się będziesz z tego, nazwiesz to z pewnością dziecińśtwem, ty żono i matko, doświadczona kobieto, której, mówiąc nawiasem, jasno popielate włosy drwić sobie będą do końca życia z siwizny!... ale widzisz, spowiedź moja jest szczerą.

Siwe, szare włosy!... Ach! jakim też wstrętnym klimatem cieszy się nasza kochana Dania. Latem mamy jeszcze trochę barw i słońca, aleź to zaledwie, wszystko razem wziąwszy, jakieś parę marnych miesięcy, które już minęły, przeszły w tygodnie i miesiące trwającą, dżdżystą, wietrzną pogodę... Jesteśmy dopiero w początku tej drugiej, nieskończonej pory, która się ciągnie przez resztę roku, i która jest dla mnie równie nieznośną, czy nazywa się jesienią, zimą, czy wiosną; zupełnie tak samo, jak gdy się już nie jest

młodą, obojętnem jest czy się sobie liczy trzydzieści dwa, czterdzieści dwa, czy też pięćdziesiąt dwa lat!... Zdaje mi się, iż żyję tylko w czasie lata. Dawna moja sympatya dla jesieni zgasła we mnie zupełnie, tembardziej, że ta pora roku, jakoś mi nie służy widocznie. Wiesz, że mam dość wrażliwe i skłonne do przeziębień gardło, i że z jego powodu jeździłam nawet parę razy do Ems, nie zwracałam jednak dawniej na to uwagi, i sądzę, że bywałam niekiedy nieostrożną. Teraz zdaje mi się wciąż, że to moje cierpienie jest wzmagającą się ciężką chorobą, która zrobi ze mnie niedołężną, słabą istotę. Myślę o swem gardle w dzień, w nocy śni mi się, że mam nieuleczalne suchoty gardlane, i szybkiemi krokami zbliżam się do śmierci. Widma tych snów prześladują mię też niekiedy i przy dziennem świetle. Boję się umrzeć i to daleko więcej, niż się tego bałam, gdy byłam młodą. Zabawne to, że im silniejszem jest życie, tem mniejszą obawa śmierci!

Przed paru dniami złapałam się na gorącym uczynku przyjmowania żywego udziału w rozmowie o różnych fizycznych dolegliwościach, którą prowadziła ciotka moja ze swą przyjaciółką, mieszkanką zakładu dla emerytek, a co najgorsze to nie to, że skarżyłam się wespół z niemi, lecz że znajdowałam w tem pewną przyjemność. O! widocznie mam już nie trzydzieści dwa, lecz pięćdziesiąt dwa lat!

Nie nosiłam już sukien dekoltowanych tej zimy, nie z powodu mego gardła, bo o niem wówczas jeszcze nie myślałam, ani też dlatego, by mi już brakło na to świeżości, bo wiem, że tak nie jest, ale nie chcę brać rozbratu z przywilejami młodzieńczego wieku wtedy dopiero, gdy ludzie się zaczną zastanawiać nad tem, dlaczego tego nie robię?

Na wielkiej uroczystości srebrnego wesela wuja Augusta, miałam też suknię pod szyję. Wuj i ciotka ganili mi to, mówiąc, żem się ubrała za staro, ale czegóż to ludzie nie są gotowi powiedzieć w dzień swego srebrnego wesela? Sądzę jednak, że nie byłoby mi przykro, gdyby się tam znalazł jakiś zakochany we mnie człowiek, coby mi powiedział, że ładną jestem, i że powinnam ubierać się młodziej.

E! to się tak mówi, a w gruncie rzeczy nie obchodzi mnie już bynajmniej, czy się kto we mnie zakocha, czy nie, i dlatego też nikt tego nie robi. Kochają się ludzie tylko w tych, co same są zakochane, mogą być niemi lada chwila, albo też, co najmniej, którym chodzi o to, by się ktoś w nich zakochał. A zatem, czyżbym ja doszła do tego, by pragnąć posiadania paru braci, którymbym się mogła poświęcić, gotując im przez resztę mego życia kawę, i cerując skarpetki? Kto wie? nie wydaje mi się to nieprawdopodobieństwem, gdy się znajdziemy znowu, w porze ustawicznych deszczów, mgły i nieprzebranego błota w mieście, mając za jedyną rozrywkę widok dwudziestu może ludzi dziennie, przechodzących pod naszemi oknami, a na wałach *)... Ach! te wstrętne wały! To doniczkowe wydanie wolnej, świeżej natury!... I nie mogę się nawet zdobyć na szczerą, prawdziwą zazdrość Kamie, która się wybiera do Włoch i Korfu na całą zimę. Co mi tam Korfu! Wiem, że i na Korfu nie byłabym szczęśliwszą niż tutaj.

Możesz sobie w głębi twego serca myśleć, co ci się podoba, niemniej tak się wygląda w duszy, gdy się za miesiąc ma dobiedz podwójnej liczby lat szesnastu! Z tego to powodu chcę cię tu mieć pierwszego Października w Châlet, ciebie tylko samą. Objedziemy z tobą wszystkie kątki, które mi były niegdyś tak drogie, a którymi się wcale nie zajmowałam w tym roku. Przyjedziesz, wszak prawda?

Twoja i t. d.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) Część miasta w Kopenhadze tak zwana z powodu, iż na dawnych wałach i fortyfikacyach zasypanych, założono tam skwery i ogrody.

Przyp. tłóm.

Na Maskaradzie.

ONA. Znam cię...

ON. Bardzo mi przyjemnie, maseczko. Przypuszczam, że musimy się znać nawzajem?

ONA. Nie. Znasz tylko maskę moją. Tego, co mną jest naprawdę, nie znałeś nigdy, i nie znasz.

ON. Mam nadzieję, że dasz mi się poznać teraz. Kimże więc jesteś tajemnicza istoto?

ONA. Jestem tą, która cię niegdyś bardzo, bardzo kochała...

ON. Doskonale się zaczyna. Ale czemuż niegdyś? A teraz?

ONA. Teraz? ha! ha!

ON. Gorzko śmiejesz się maseczko. Ta gorycz ma w sobie dla mnie coś dziwnie słodkiego. Więc teraz?

ONA. Teraz, ty jesteś szczęśliwym mężem i ojcem. Cóż ci po miłości jakiejś nieznajomej? Masz żonę młodą, ładną, miłą... No, czy nie prawda? Dom twój jest rajem dla ciebie. Gdy wracasz, białe ramiona Zosi oplatają ci się dokoła szyi...

ON. Znasz więc imię mojej żony?

ONA. Usta jej składają na twojem czole takie gorące pocałunki...

ON. Maseczko, mówmy o czem innem.

ONA. Dobrze. Patrz, ile tu świateł, jaka mięszanina barw i woni, co szeptów, śmiechów, spojrzeń dziwnych?

ON. Lubisz maskaradę?

ONA. Pierwszy raz widzę. Odurzająca atmosfera.

ON. Oczy twoje błyszczą. Upoiły cię muzyka, śmiechy, szepty...

ONA. I rozmowa z tobą...

ON. A mimo to, nie wiem czemu, wydajesz mi się smutną...

ONA. Smutną! Ależ ja jestem wesołą, szalenie wesołą w tej chwili. Chcę śmiać się wraz z tobą, chcę szaleć, chcę, byś zapomniał przy mnie o domu, o żonie... ale ty pewno wyrywasz się już do niej... prawda, tam twoje szczęście, twoje niebo? Ona spojrzy na ciebie swoim słodkim, łagodnym wzrokiem, pieszczotą ukołysze myśli wzburzone... usiądziesz z nią przy kominku, i szczebiotu jej słuchać będziesz jak muzyki...

ON. Przestań maseczko! Czemu uwzięłaś się dręczyć mnie obrazami mojego... mojego szczęścia małżeńskiego? Dlaczego tak drgnęłaś?

ONA. Ha, ha, ha... nareszcie! Nareszcie z po za maski człowieka dobrze wychowanego wyjrzał znudzony mąż.

ON. Chochliku złośliwy!

ONA. Te rozmowy przy kominku, te pocałunki, ten szczebiot dziecinny, ach Boże, jakież to było rozkoszne pierwszego, drugiego, trzeciego dnia, ale potem, ale teraz... przy kominku ziewa się ukradkiem, szczebiot mógłby być trochę, trochę mniej dziecinny... pocałunki... no z tymi jeszcze najłatwiej pogodzić się można...

ON. Maseczko, czy ty nie jesteś czasem panna Ida, złośliwa panna Ida, której wróżyłem zawsze staropanieństwo, jako karę za zbyteczną ostrość języczka?

ONA. Ha, ha, ha! Co za przypuszczenie? Ale à propos. Pamiętasz, to Ida powiedziała ci, gdy starałeś się o Zosię, że tobie innej żony potrzeba, żony z którą mógłbyś podzielić myśli, nietylko pieszczoty, żony, którаby pojmowała ciebie.

ON. Ida była zawsze nieznośną. Maseczko, oczy twoje mają blask gorączkowy, a mimo to łagodny i miękki. Jej oczy zimne i szare w niczem niepodobne do twoich. Nie przysłaniaj ich powiekami. Rozumiem, boisz się, bym cię nie poznał po oczach. Daj mi rączkę, proszę. Ale gdzież tam. Rączka ukryta pod dominem, domino do ziemi, postać całą osłania, na głowie ogromna peruka, ani szyjki, ani uszka nawet nie widać! Co za ostrożność. Maseczko mów do mnie, bym ze słów twoich domyślił się, kim jesteś.

ONA. W słowach moich przejrzysz się sam jak w zwierciadle. Mam dar widzenia rzeczy, które minęły. Oto widzę człowieka, który młodziutkiemu dziewczątku szepce do ucha, że ono będzie kwiatem jego życia, gwiazdką jasną śród otaczających głowę jego chmur... Ha, ha! czemuż patrzysz na mnie wzrokiem tak zdumionym? Przecież podobne rzeczy mówi się zawsze przy oświadczynach. Ty sam powtarzałeś je pewno nieraz.

ON. Wybacz, masz zbyt liche wyobrażenie o mnie. Nie oświadczałem się nigdy dwom kobietom w tych samych wyrazach.

ONA. Nie gniewaj się, posłuchaj jeszcze... Widzę znowu, tego samego człowieka w kilka miesięcy po ślubie. Dokoła niego skały urwiska i kilka ludzkich postaci. Żony nie ma przy nim. Zmęczona została w hotelu...

ON. I cóż dalej?

ONA. Jest przy nim postać inna. Artystka... jego pierwsza, jego wielka miłość młodzieńcza. Usuwają się od towarzystwa w bok, gdzie świerki na skałach, zkąd widok ogromny, potężny. Artystyczną duszę kobiety zapał unosi, mówi, oczy jej płoną zachwytem, i gorejące, wielkie, świetne zwracają się na niego. On każde jej słowo chwyta, i pieści się z niem w duszy, on w tej chwili znowu jej, jej jak dawniej był, kiedyś. I chwyta ręce białe swojej pani, i w uniesieniu miłości niewygasłej, niezapomnianej nigdy, przyciska do ust gorących...

ON. Dosyć, panno Wando! Pani jedna nie masz prawa potępiać mnie. To było ostatnie echo szaleństw mojej młodości. Pani wiesz, że kochałem cię miłością wielką, silną i prostą, i wiesz także, że ta miłość była kwiatem, który przez kaprys oberwałaś z listków, i rzuciłaś sobie pod nogi. Ha, ileż razy żałować mi przychodziło porywów entuzyazmu, które gasiłaś niemiłosiernem szyderstwem, jak gdybyś ty jedna tylko do uniesień miała prawo. A teraz przychodzisz szydzić wobec mnie z dziewczęcia, które białemi rękami zmęczoną głowę moją objęło, i pozwoliło

duchowi memu uciszyć się przy sobie. Ona jest dzieckiem, prawda, ale to dziecko oddało mi całe serce swoje, i z tego dziecka będzie kiedyś kobieta o duszy podnioślejszej niż twoja, pani... milczysz...

ONA. Ha, ha, ha...

ON (na stronie). Śmieje się, a łzy ma w oczach, to nie Wanda. Ależ ja zupełnie nie wiem, z kim mówię!

ONA. Żegnam cię. Już żadnych obrazów nie widzę przed sobą. Pozwól mi odejść.

ON. Nie, nie! Zdejm maskę na chwilę. Błagam.

ONA. Nie mogę.

ON. Po tem wszystkiem, co usłyszałem od ciebie, mam prawo żądać jakiegoś wyjaśnienia.

ONA. Nic więcej powiedzieć nie mogę.

ON. Nie odchodź. Czy zobaczymy się jeszcze kiedy?

ONA (śmiejąc się). Ależ tak.

ON. Czemu śmiejesz się ciągle? Powiedz mi gdzie się zobaczymy.

ONA. W domu.

ON. Gdzie?

ONA (zdejmując maskę). W domu.

ON. Ach, niedobra!

H. C.

Bicykl przed sądem.

Ciężkie godziny przyszły na tę maszynę w Berlinie w ostatnich tygodniach ubiegłego miesiąca. Ciężkie, mówimy, bo z trybunałem takim jak berlińskie: „Verein für innere Medicin" żartów nie ma żadnych, a o kilku tygodniach wspomnieliśmy ze względu, że już przez dwa Poniedziałki, które są dniami przeznaczonymi na zebrania Towarzystwa, toczą się tam rozprawy o wpływie jazdy welocypedowej na zdrowie ludzkie i o tem w konkluzyi, czy należy ją zalecać lub odradzać i w jakich mianowicie wypadkach szczególnie.

Z oskarżeniem nader surowem wystąpił docent fakultetu berlińskiego dr. Mendelsohn i w tym duchu zredagowaną jest właśnie jego praca, którą zebranym znakomitościom medycyny niemieckiej do rozpoznania przedstawił. Rozprawa nosi tytuł: „Czy można się zapatrywać na jazdę welocypedową jako na ćwiczenie ciała, mogące przynieść organizmowi pożytek?"

Dr. Mendelsohn utrzymuje, że jego praktyka lekarska osobista, daje mu na to zapytanie odpowiedź całkowicie ujemną. Pozycya jaką z konieczności przyjąć musi jadący, sprowadza wedle niego nieuchronne zakłócenia w organizmie, których stopień i zaostrzenie robi on zależnem od częstszego i forsowniejszego używania jazdy.

Jako środek leczniczy nie przypuszcza dr. M., aby można zalecać bicykl w jakimkolwiek wypadku, a co się tyczy używania tego ruchu przez ludzi w wieku późniejszym i dzieci, uznaje go jako szkodliwy bezwarunkowo.

Jeśli idzie o zalecanie koniecznie jednej ze współczesnych modnych rozrywek, wolałby w ostatnim razie dr. Mendelsohn wiosłowanie.

W dalszym ciągu obrad zjawiły się głosy mniej potępiające dla jazdy welocypedowej a nie brakło i przychylnych zupełnie.

I tak naprzykład dr. Tiburtius (Oberstabsartzt) nie widzi dobrej przyczyny, aby wzbraniać starcom nawet, tego środka lokomocyi, bo i on sam, pomimo że jest człowiekiem późnego wieku, z korzyścią dla zdrowia oddaje się tej rozrywce, której jest zwolennikiem szczerym. Zaleca niektóre ulepszenia w budowie maszyny, mówi o umiarkowaniu w jeździe, ale jest stronnikiem welocypedu stanowczym.

Przemawia następnie jeden z lekarzy, który wspomina o kilku zaszłych w ostatniem roku wypadkach śmierci nagłej w Berlinie podczas jazdy na rowerze, poczem przychodzi do głosu profesor dr. Fürbringer, który jazdę welocypedową porównywa do wycieczek górskich. Tu i tam ostrożność i umiarkowanie stawia jako warunki nieodzowne, a przedewszystkiem zgadza on się z doorem Mendelsohnem w kwestyi zakazania stanowczego tych ćwiczeń, czy tych rozrywek, tuberkulicznym i cierpiącym na chorobę serca, a nawet zdradzającym skłonność do chorób piersiowych i sercowych.

W opozycyi z poprzednimi stoi do pewnego stopnia dr. Leyden, który utrzymuje, że jazda na bicyklu traktowana w granicach rozsądnego umiarkowania, zdaniem jego może dawać rezultaty pomyślne, a nawet w pewnych wyjątkowych okolicznościach służyć jako potężny środek terapeutyczny.

Profesor Eulenburg idzie jeszcze dalej. Przytacza opinie lekarzy amerykańskich, którzy w cierpieniach nerwowych, a mianowicie przeciw neurastenii stosują to ćwiczenie z najlepszymi rezultatami.

Dr. Platzeck jako zamiłowany w tej rozrywce przemawia za nią stanowczo i bez zastrzeżeń żadnych. Utrzymuje on, że owa pozycya zgarbiona, o której mówi dr. Mendelsohn nie naraża organizmu w niczem, a obawy niebezpieczeństwa dla sercowych i tuberkulicznych są zdaniem jego o wiele przesadzone.

Z kolei przyszedł na stół welocyped jako stosowany dla kobiet. I tutaj dr. Leyden miał sposobność częściowego przynajmniej usprawiedliwienia tej maszyny, przytaczając dobre skutki jakie mu dało stosowanie tego środka dla kilku pacyentek nerwowych, chociaż wrażenie głosu znakomitego klinisty niemieckiego zatarło się do pewnego stopnia pod gromami prawdziwymi tajnego radcy d-ra Fürbringera, który ze względów hygienicznych i etycznych zarazem jazdę na bicyklu uważa dla kobiety za nieodpowiednią zupełnie.

W ten sposób podzieliły się zdania w ciągu rozpraw. Ci z pomiędzy lekarzy, którzy używają azdy welocypedowej sami, zalecają ją oczywiście swoim pacyentom, czemu dziwić się nie należy, boć przecie wiadomo, że i lekarze alkoholiści ten także rodzaj sportu uważają za korzystny zdrowiu ludzkiemu. O amerykańskiej obserwacyi lekarskiej nie mówi się w Europie poważnie, bo tam znowu wolno przypuszczać między motywami obradujących wszystko, nie wyjmując nawet pewnego nacisku jaki na przekonanie lekarzy wywrzeć mogą wielkie przedsiębiorstwa fabrykacyi bicyklów.

W każdym razie rzecz jest w Berlinie niedokończona w rozprawach i nie rozstrzygnięta. O rezultacie ostatecznym zawiadomić nie omieszkamy.

T. M.

NA DWORZE SZWEDZKIM.

Zbyt poważne miejsce zajęła Szwecya dzisiejsza w pracy cywilizacyjnej naszego stulecia, iżby nas to wszystko co w większym lub mniejszym stopniu wytworzyło dążenia obecne, z blizka interesować nie miało. Szwecya XIX wieku, to już nie ojczyzna tych, których klimat surowy i ubóstwo gleby gromadziło w zbrojne zastępy i rzucało na Europę pod wodzą Karola Gustawa czy Karola XII. Szwecya to jedna z przodowniczek oświaty, propagatorka dobrze zrozumianego stopniowego zacierania się różnic kastowych, to nakoniec ognisko, które coraz skwapliwiej przybywają oglądać dzieci starej cywilizacyi dalekiego Zachodu. A dziwne muszą być myśli owych spadkobierców wiekowej kultury, gdy im się przyjdzie rozejrzeć w dobytku najmłodszego w rodzinie ludów europejskich—dziwne, powiadamy, bo ta młodszość wobec cywilizacyjnego rozwoju była dotąd traktowana niecledwie, że na równi z parweniuszowstwem wszelkiem wobec rodowitości i przywilejów dziedzicznych.

Ponieważ na tej nowej drodze, na którą wstąpił naród szwedzki spotykamy zjednoczenie nader sympatyczne wszystkich sił i zasobów państwowych, ponieważ niepoślednia zasługa przyznaną być musi tutaj i dynastyi panującej także, czujemy się w obowiązku przypomnienia pamięci czytelników niedawnych dziejów tej dynastyi, która w tym samym prawie zostaje stosunku do reszty pleśnią wieków okrytych precedencyj monarchów europejskich, jak oświata wczorajsza narodu szwedzkiego do starego duchowego dorobku szczepów romańskich, germańskich i anglo-saksońskich.

Protoplastą dzisiejszej dynastyi szwedzkiej był syn adwokata z Marsylii, którego pierwsze lata rewolucyi francuzkiej zastały pod sztandarem republikańskim. Szybko rosły podówczas sławy i kariery, ale ta, którą zdobywał młody Karol Jan Bernadotte pospieszniejszą była od innych. W 1789 roku widzimy go zaledwie sierżantem, w 1792 już pułkownikiem, w 1793 jenerałem brygady, w 1804 r. marszałkiem i parem Francyi. Pozycya wyjątkowa jaką zajął wśród całej plejady wojowników, otaczających nowego cezara, oceniona jest w historyi bardzo wyraźnie. Fortuna bohatera była mu szczeblem do jego fortuny osobistej; przyjmował wszystkie jej uśmiechy i fawory ale się do rydwanu zwycięzcy nie wprzęgał bynajmniej. Owszem, skoro się tylko sposobność po temu okazała, nie omieszkał jak najstaranniej akcentować swojej odrębnej wyłączności, a cenne materyały po temu znaleźć mogą czytelnicy w ogłoszonej jego korespondencyi z Napoleonem I-ym.

W 1810 roku stany Szwecyi i Norwegii uznawszy potrzebę pozyskania w osobie następcy tronu szwedzkiego, człowieka, któryby łączył talenta wodza i przymioty administratora, ofiarowały to następstwo marszałkowi Berndottemu, a kandydatura taka znalazła przychylne przyjęcie u ówczesnego monarchy szwedzkiego Karola XIII. Odtąd przyszłość tego wybrańca losu była zdecydowana. Ożeniony z Francuzką, p. Clary siostrą żony Józefa Bonapartego, pozostał on Francuzem o tyle, o ile dobro kraju, którego miał zostać królem w przyszłości, nie sprzeciwiało się temu. Jakkolwiek

w roku 1812 przyłączył się do t. zw. Ligi Reńskiej, rola jego w wypadkach była tylko rolą mediatora. Po otwartem zerwaniu swojem z Napoleonem pobił wprawdzie w roku 1813 marszałków Ney'a i Oudinot na terytoryum niemieckiem, zdecydował nawet na korzyść sprzymierzonych bitwę pod Lipskiem, ale należy mu i to policzyć, że z armiami zwycięzkiemi terytoryum francuzkiego nie przekroczył. Po śmierci Karola XIII w roku 1818 wstąpił na tron i panował aż do śmierci swojej, która miała miejsce w r. 1844. Trwało tedy to panowanie lat 25 co nie należało bynajmniej do ewentualności przewidywanych przez wielkiego samotnika wyspy ś-tej Heleny.

Dzisiejszy monarcha szwedzki Oskar II-gi jest wnukiem tego sierżanta Bernadottego, którego nazwisko, powiedzmy nawiasem, zupełnie jest pomijanem, a tylko w pewnym nieprzewidzianym w rodzinie panującej wypadku, wyszło ono znowu na jaw, jak to będziemy mieli sposobność zobaczyć.

Oskar II jest synem Oskara I-go urodzonego w Paryżu w roku 1790, który panował po śmierci Karola XIV od roku 1844 do 1859. Wstąpił na tron po bracie swoim Karolu XV zmarłym w roku 1872. Ożeniony jest obecny król szwedzki z księżniczką Nassauską, od której dopiero rozpoczyna się wielkie bogactwo dynastyi Bernadott'ych. Familia Nassauska zdobyła to mienie przy pomocy domu gry utrzymywanego przez długie lata w Wiesbaden i Ems; po zwinięciu tych instytucyj dobroczynnych wycofała się ona z tego interesu z wielkimi milionami. To źródło majątku, którego czystość bez wyszukanych argumentów zakwestyonowaną być może, to pochodzenie, które oddając zapomnieniu nazwisko rzeczywiste, pozwoliło zadowolnić się stworzonem przez Napoleona I-go tytułem książąt Ponte-Corvo — to wszystko razem powinno było w sprawach dynastycznego legitymizmu zrobić dynastyę szwedzką pobłażliwszą, niż się okazała w rzeczywistości. Tymczasem bardzo surowo zamanifestowała się panująca familia Bernadotte'ych względem jednego z synów obecnego monarchy, który pojął za małżonkę kobietę stanu włościańskiego. Książę ten został wykluczony z rodziny, przejść musiał bardzo upokarzające szykany, i ostatecznie zmuszono go do posługiwania się właściwem nazwiskiem Bernadotte, do którego książę Luksemburski dodał tytuł hrabiego von Wissburg.

Królowa Zofia, której ten książę był synem ukochanym i która nawet dla żony jego mimo pochodzenia żywiła bardzo przyjazne uczucia, chciała wynagrodzić tę surowość i zrobiła rozporządzenie testamentowe, mocą którego odsunięty dziedziczył cały prawie majątek macierzysty. I tu znalazła się opozycya, i to nietylko z członków rodziny monarszej złożona, ale i stany szwedzkie, którym nie dogadzało to, że monarcha przyszły znowu do swego rozporządzenia mieć będzie tylko owę 2 i pół miliona franków wynoszącą listę cywilną, wystąpiły z protestem i zakwestyonowały stan umysłu królowej, który nie miał być wedle oponentów tak bez zarzutu, iżby możność sporządzenia prawomocnej ostatniej woli usprawiedliwiał.

Już to monarchiczną nawskroś pomimo demokratycznego ducha instytucyi swoich jest Szwecya, i to po części jest źródłem nigdy nieustających jej nieporozumień z jednoplemienną Norwegią, która jest społecznością par excellence, nową. Reprezentacya norweskiego storthingu, która w dwóch trzecich składa się ze stanu włościańskiego najlepiej to wykazuje. Tego rodzaju odrębności zasadnicze stanowią zaród starć nieustających, których unia personalna pod berłem jednego monarchy dostatecznie usunąć nie może.

I teraz jesteśmy świadkami nowych objawów separatystycznych ze strony ludności Norweskiej, które niewiadomo jakie przy zdarzonej sposobności przybrać mogą rozmiary.

Cudzoziemiec mniej świadomy ducha jednej i drugiej społeczności, zawsze dziwić się musi wszystkim podobnym zadraźnieniom, boć ostatecznie i położenie geograficzne i inne warunki bytu zdają się wyraźnie przeznaczać te ludy, aby kosztować mogły spokoju i szczęścia pod jednym rządem, nie mówiąc już o tem, że dynastya obecna należy z pewnością do takich, którym ogół zdrowo myślący wysokiego uznania odmówić nie może, ze względu, że przez ciąg czterech z rzędu panowań stale zasługiwała się ona dobrze sprawie swojego kraju.

Sam protoplasta Karol Jan XIV był wybornym administratorem, dobrym prawodawcą, człowiekiem, który z pewnością usprawiedliwiał niezwyczajną przychylność, jaką mu naród Szwedzki i jego monarcha okazali.

Szczerze i trwale zżyły się wszystkie stany narodu Szwedzkiego z ostatnią dynastyą swoją. Po wszystkie czasy i wszędzie stan magnacki miło się okazywał przychylnym takim obcym rodom na tronie, zwłaszcza też, gdy te pod względem pochodzenia, pozostawiały to i owo do życzenia. Trzeba przyznać, że z rodem Bernadotte'ych działo się wprost odmiennie, a o panującym obecnie Oskarze II, gdy wygłaszał przed paru laty swoją mowę tronową, wyraził się jeden z magnatów, iż niepodobna prawie przypuścić, aby monarcha, który nie ma po za sobą długiego szeregu przodków, mógł posiadać tyle powagi i majestatu.

Wśród innych warstw narodu zjednał sobie umysły król Oskar realną wartością swoich prac różnorodnych, pomiędzy któremi i twórczość literacka cieszy się ogólnem uznaniem Szwedów. Przed paru laty wystawiono w Stockholmie dramat tego koronowanego autora, zatytułowany: „Kilka godzin w Krohnburgu."

Różnie się o tym utworze wyrażała krytyka europejska. Między innymi powiadali Francuzi, że gdyby szło o widza francuzkiego, dosyć byłoby tytułu samego, aby odstraszyć ciekawych, nie mówiąc już o suchości całej sztuki i jej nieskończenie długich monologach. Dla nas wyrok krytyki francuzkiej nie był nigdy rozstrzygającym bezwarunkowo, tembardziej, że w tym wypadku, w Szwecyi wspomniony utwór cieszy się dotąd zupełnem powodzeniem.

K.

Wskazówki i rady.

POTRAWA Z OGONÓW WOŁOWYCH.

Ogony wołowe są częścią mięsa bardziej pośledną, używają je na galaretę z nóg dla robotników, w wykwintnej zaś kuchni gotują z nich zupę angielską (kosztowną) zwaną „Ox-tail." (Patrz 365 Obiadów wydanie 17).

Otóż w jednej z pierwszorzędnych restauracyj wiedeńskich podano mi potrawę z ogonów bardzo smaczną, obłożoną knedlami wiedeńskimi z bułki.

Najstaranniej oczyszczony ogon w całości, nalać zimną wodą i zagotować, czyli mówiąc po kucharsku zblanżerować. Odlać wodę, opłukać ogon, pokrajać go na części 3 cent. długie, włożyć w mały rondel żeby się w krótkim sosie gotował, nalać świeżą, ciepłą wodą, nakrajać włoszczyzny, parę cebul poprzednio zrumienionych w piecu, jeden listek bobkowy; dwa ziarnka angielskiego ziela, pieprzu, kawałek estragonu, soli, jeden suszony nie duży grzybek i gotować to na wolnym ogniu, zaglądając żeby zawsze płyn był na wierzchu. We dwie lub najwyżej trzy godziny ogon powinien być zupełnie miękki, wtedy wziąść dużą łyżkę masła, zrumienić go dobrze, wsypać jeżeli jest łyżkę rumianej mąki lub surowej, którą należy z masłem zrumienić, rozprowadzić przecedzonym smakiem, którego powinno już być nie wiele, aby sos był zawiesisty, włożyć kawałki ogona dla zagotowania razem, podać obłożone knedlami z bułki, wielkości jajka. Knedle (patrz 365 Obiadów wydanie 17).

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою. Варшава 22 Января 1896 г. Druk Emila Skiwskiego, Warszawa. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. **DODATEK.**